

ka Boża wam go wynagrodziła. Przez pracę milenijną Zakon niejako się zaktualizował i odnowił. Stał się popularny w Polsce i całym świecie. Bóg nagroził go licznymi powołaniami. Biskupi wołają was teraz do wszystkich diecezji. Jest to rzecz niezwykła, bo na ogół z dużą rezerwą przyjmuje się zakony do diecezji. A was chcą wszyscy. Ponadto, macie kapitał pracy i zasługi milenijnej.

Niewątpliwie dużą rolę, przez jakąś wolę Bożą, spełnił również Instytut Prymasowski. Może, dzięki swemu entuzjazmowi, cierpliwości, pracowitości, żarliwej modlitwie i duchowi ofiary był on cementem zespalającym. Nie chcemy o tym dużo mówić, bo nie wypada. Może będzie na to czas później. Dzisiaj przywołujemy na pamięć tylko te elementy, które sprawiły, że było nam tutaj tak dobrze i naturalnie.

Pragnę raz jeszcze tobie, drogi ojczu generale, jako głowie Zakonu podziękować. Wiadomo przecież co znaczy w Kościele głowa Zakonu. To twoje serce, twoja wola, twoja dobroć, uczynność, pamięć i zapobiegliwość sprawiły, że do tej pustelni, do „Tebaidy” przyszedł taki urwaniec Boży, czambulik tatarski i czuł się tutaj „pięknie bardzo”. Trzeba mieć dużo odwagi, ojczu generale, aby taką ferajnę zaprosić do pustelni. Tyś miał tę odwagę, ale miej i pociechę. Okazuje się, że chociaż jesteśmy ludźmi bardzo zeświecczonymi, bo to jest Instytut od stóp do głów świecki, niemniej jednak mamy ducha pustelniczego i umiłowanie pustelni, ponieważ czuliśmy się tutaj świetnie. Moglibyśmy nawet wszyscy dostać powołania pustelniczej drogi, chociaż na dwa miesiące. A ponieważ wszyscy myślicie, że my już więcej nie zajrzemy, przysięgamy tobie, ojczu generale i tobie, ojczu rektorze, że my tu zaś... przyjedziem.

Homilia niedzielna

Bachledówka, 28 lipca 1968 r.

(...) Moje dni pobytu i odpoczynku się kończą, muszę wracać do swojej pracy w Warszawie i Gnieźnie, dlatego też, najmilsze dzieci, chciałem wam całym sercem podziękować za waszą dobroć, za to, żeście mnie tutaj ścierpieli, że odnosiliście się do mnie przyjaźnie, życzliwie. Wydaje mi się – wczoraj wieczorem robiłem rachunek sumienia – że szkody nikomu nie wyrządziłem. A tak się obliczałem, czy aby tam nie podeptałem czegoś albo komu złego przykładu i zgorszenia nie dałem. No, może się mylę, bo to człowiek zawsze na swoją stronę tłumaczy, ale tak mi się wydaje, że nikomu nic złego nie zrobiłem. Ale gdyby mi się coś nie udało, gdybym jakąś szkodę wyrządził w polu, to was przepraszam.

Jedno przynajmniej mogę powiedzieć, że chodząc po waszych łąkach, lasach i polach modliłem się i wam wszystkim, waszym polom, zagonom, błogosławiłem. Bóg zapłać Wam.

Do górali w czasie wieczornicy pożegnalnej

Bachledówka, 28 lipca 1968 r.

Drogi Dzieci Boże!

To przede wszystkim do mnie należy wam dziękować. Ja, niestety, nie jestem poetą. Tutaj, na Podhalu, poeci się rodzą jak smreki. Strzelają swoimi myślami daleko w niebo. Ja nie umiem tak pięknie uzdajać, jak wy to mówicie, tych wszyckich wierszyków. To ta bede mówił prosto, jak przez te niedziele podczas Mszy świętej o godzinie ósmej rano, gdyście tak gromadnie przychodzili. Mówiłem do was prosto, od serca, jak umialem.

Wyście tutaj wyśpiewali: „Prymasie, czy ci nie żal”. A no juści, nie można zaprzeczyć, że żal człowiekowi gór, swobody, powietrza, słońca, a nawet tej mgły deszczu, bo to wszystko jest jakimś darem Bożym. Wszystko jest łaską Bożą, wszystko jest potrzebne. Słońce nie miałoby wiele do roboty, gdyby przedtem nie było deszczu i wilgoci, a nawet i mgły. Wszystko w myśli Bożej i planie Bożym ma znaczenie. Dlatego też człowiekowi juści trocha to i żal, że musi jechać do roboty, ale ponieważ robota moja, tak mi się wydaje, tak myślę, nie jest moją, ale Tego, który mnie posłał i ustanowił, dlatego też do takiej roboty człowiek wraca z radością. I chociaż by jeszcze chciał posiedzieć i odpoczywać, i popróznować, to jednak wraca do roboty, bo sumienie mu każe. A ja mam jeszcze co robić, póki sił i zdrowia starczy. Wiecie, że jestem arcybiskupem aż w dwóch diecezjach: gnieźnieńskiej i warszawskiej, a więc ponad trzy miliony wiernych dzieci Bożych, ponad półtora tysiąca kapłanów, ponad siedemset parafii. Jest więc co robić.

Ojciec Święty nałożył na mnie jeszcze inne obowiązki, które pochodzą stąd, że w Polsce nie ma przedstawiciela Ojca Świętego, bo nie ma dotychczas jeszcze porozumienia między Państwem Polskim a Stolicą Świętą. Trzeba więc pewne obowiązki wypełniać. I ta praca również spoczywa na moich barkach. Jest więc co robić.

Ale, drogie dzieci, wiem, że jest bardzo dużo dobrych ludzi, dzieci, młodzieży, którzy się modlą w mojej intencji. I to jest siła. Inaczej byłoby mi

trudno. Modlą się do Matki Najświętszej. Chyba wszyscy w Polsce wiedzą, że ja wierzę w to, że siła Kościoła w Polsce polega na szczególnej opiece Matki Najświętszej. Ja jestem tylko Jej pokornym i mocno Jej wierzącym sługą. Wiary mi nie brakuje, dzieci Boże. O miłość może trudniej, bo muszę wam powiedzieć, że i o nią się staram, bo nie uważam nikogo za swojego wroga. Wprawdzie nieraz w gazetach wypisują, że jestem wrogiem Polski czy czegoś tam jeszcze innego. Ale gdy tak w swoim sumieniu szperam, to zdaje mi się, że dotychczas nie zrobiłem Polsce krzywdy, a coś dobrego też się udało zrobić przy Bożej pomocy. Nikogo nie uważam za swojego wroga, nawet tych, co mnie przez trzy lata pilnowali, bo myślę sobie, przynajmniej przez trzy lata miałem spokojne życie i nie musiałem się wiele kłopotać, nie myślałem o tym, że mnie ktoś w nocy ukradnie albo okradnie, bo tam mnie fajno przez trzy lata pilnowali. Miałem dla tych ludzi dużo serca i zawsze jak mogłem, dziękowałem, chociaż oni się dziwili, za co.

Najmilsze dzieci, trzeba wszystkim okazać wdzięczność. Dlatego i ja mówię jasno: wrogów nie mam, bo nikogo za swojego wroga nie uważam. Pewnie, różnimy się. Różnimy się bardzo w wielu sprawach, różnimy się w pojmowaniu i widzeniu Polski. My chcemy Polski Chrystusowej, takiej Polski, która przez tysiąc lat służyła wiernie, pod przewodem Matki Najświętszej, Trójcy Świętej i brała od Niej chrzest i naukę przez Kościół.

Ale dziś nie brakuje ludzi, którzy każą nam wierzyć w różnych bogów, prócz jednego, prawdziwego. Na to się zgodzić nie możemy i dlatego ciągle „wojujemy” o to. Muszę tak postępować, żeby Polska wierzyła Bogu Najwyższemu, takiemu, który nie umiera i który się nie myli, bo inne „bogi” często się mylą i zawsze umierają. Czytacie w gazetach. A Ten jest na niebie i na wszystkich patrzy miłosiernym okiem, swoją dobrocią, miłością i nie umiera. Takiemu Bogu trzeba ufać, wierzyć, takiego Boga trzeba słuchać i do takiego prowadzić lud Boży.

Niewątpliwie, najmilsze dzieci, wraca się do uczciwej i rzetelnej pracy. Przyjechałem tu przez Jasną Górę i chcę wrócić do Warszawy przez Jasną Górę. Za kilka dni będę w Gnieźnie u grobu świętego Wojciecha, bo to są najczęstsze moje drogi i wędrówki.

Dzieci kochane, choć żal mi gór, to jednak wy mnie nie żałujcie. Proszę was bardzo, nie żałujcie mnie, bo wtedy byście dopiero mogli mnie żałować, gdybym ja coś złego zrobił. Ale przecież wydaje mi się, że uczciwie służę Bogu, Kościołowi ludowi Bożemu, więc mnie nie żałujcie. Trochę kłopotu trzeba mieć. Trzeba mieć i troszkę przeciwności. Trzeba mieć trochę przeszkód. Sami to rozumiecie, łatwo nic nie przychodzi, zwłaszcza dobra, rzetelna praca musi iść powoli, opornie, z przeciwnościami. I tylko pomagajcie mi modlitwą, a wiem, że modlić się umiecie, bo tutaj przez miesiąc razem modliliśmy się. Wieczorem

na Apel przylatywały nawet małe dzieci, razem stawaliśmy przed Bogiem i Jego Matką. Rano na Mszę świętą przychodzili ci, co mieli więcej czasu, niektórzy byli codziennie. Wiem, że umiecie się modlić i o tę modlitwę was proszę.

Całym sercem dziękuję wam wszystkim za życzenia, które wypowiedzieliście, za śpiewy i grania, z którymi przyszlście do mnie, najmilsi. To wszystko jakoś człowieka raduje, bo jest oznaką miłości i braterskiej wspólnoty.

Na zakończenie, najmilsze dzieci Boże, chyba jeszcze raz podziękuję wam za to, żeście mnie tutaj na Bachledówce ścierpieli. Już dzisiaj po Mszy świętej rano za to dziękowałem i przepraszałem, jeżeli tam gdzieś troszkę koniczyny podeptałem, łażąc po polach, bo ja jestem taki, ot widzicie, łażik. Lubię po polach łażać i gapić się. Człowiek w mieście oddycha benzyną, a tutaj świeżym powietrzem. Ale mogłem tam czasem i podeptać coś, za to was bardzo przepraszam, jeżeli coś szkody wyrządziłem. W mieście niewiele się widzi, a tutaj widzi się tyle dzieł miłości Bożej, dobroci Bożej i piękna. W mieście trzymają człowieka obowiązki. Ale czasem aż się człowiek boi myśleć, co z tych miast wyrośnie za lat trzydzieści, pięćdziesiąt, bo już dzisiaj jest ciasno, trudno o wodę, o słońce, chociaż się miasta lepiej buduje teraz aniżeli dawniej, ale nie wiadomo, co z nimi będzie. I dlatego te mieszcuchy, jak wy ich nazywacie, te cepry warszawskie często uciekają z miasta, gdzie tylko mogą, bo szukają świeżego powietrza, słońca Bożego, szukają czystej, zdrowej zieleni, oddechu, odpoczynku. Przyjmijcie ich tutaj, drodzy moi, tak serdecznie i gościnnie, jak mnie przyjmowaliście, aż się dziwuję. A jeszcze tak żeście się zawzięli, żeby tu na Bachledówce majątek zrobił. A to mnie najbardziej przeraża, bo prymas musi być przecież biedny. Nadawaliście mi tyle darów, przyjechałem jednym samochodem, a już nie wiem czy się dwoma zabiorę.

Drodzy moi, za wszystko dziękuję, przepraszam i błogosławię serdecznie całym sercem was tu obecnych, małe dzieci, dziewczynki, chłopczyków, dziewczęta, młodzieńców, matki, ojców, was wszystkich i tych, którzy tu mieszkają w okolicy, w Czerwiennem i w parafii, na Bachledówce i wokoło, a obejrzałem ze wszystkich stron, jak wśród tych gór, chwalić Boga, sporo jest domów. Wam wszystkim, waszym domom i polom, waszym pracom, wysiłkom i trudom, tym, co orzą i sieją, tym, co ścinają, koszą i tym, co kierpce robią i tym, co tkają i tym, co dobrze myślą, a nawet tym, co słabo myślą, żeby lepiej myśleli, wszystkim na zdrowie, na braterską miłość, na braterską wspólnotę błogosławię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.